

ROZSTANIE

NOVELA FILMOWA

Siedziała wciśnięta w kąt przedziału, pozornie nie zwracając uwagi na mijane stacyjki, przez które pociąg z hukiem przelatywał, bez zatrzymania, zwalniając tylko odrobinę biegu, tak, że przez moment lampy dworcowe wypełniały mżącym blaskiem zaciemnione przeważnie wnętrza wagonów.

W jednym z tych krótkich momentów światła na dworcu wydobyły z mroku trójkątną twarz pasażerki i szaro-błękitne, jak futro niebieskiego lisa, puszyste włosy.

W przedziale poza nią, siedziało jeszcze kilku podróżnych, w pozach na pół uśpionych, albowiem była noc, a miarowy stuk pociągu i łagodny powiew płynący przez uchylone okno działał kojąco i sennie.

Ona jednak nie spała, a jej nieruchoma twarz, od czasu do czasu oświetlona przelotnymi błyskami, miała — pomimo przymkniętych powiek — wyraz napięcia i stężonej dokoła ust czujności.

Wtem pociąg zaczął trochę zwalniać, turkocząc coraz głośniejsze, aż zatrzymał się na jakiejś większej stacji, a jednocześnie głos na peronie zawołał donośnie, przeciągając samogłoski: — Kaalisz!

W korytarzu wszczął się ruch: kilku podróżnych wysiadło, paru — a w każdym razie jeden — wsiadł.

Kiedy pociąg ponownie ruszył, pasażerka podniosła się i skierowała ku wyjściu. Przez chwilę mocowała się z drzwiami, a gdy udało się je rozsunąć, wyszła na korytarz.

— Czy to był Kalisz? — spytała. Zrobiła to z przyzwyczajenia, nieświadoma, że zawsze, nawet kiedy jechała wagonem sypialnym, nieomylnie budziła się w Kaliszu i stawiała to pytanie, po czym zaczynała spობić się do wysiadania.

— Tak, Kalisz — odpowiedział młody człowiek, stojący pod oknem na korytarzu. Wsiadł przed chwilą, lecz nie próbował dostać się do wnętrza przedziału. Ubrany był w wąskie farmerskie spodnie i otwartą koszulę, odświeżając opaloną szyję. Włosy miał jasne, krótko przystrzyżone, i gładką twarz bez wyrazu, z którą może jeszcze stać się wszystko.

Pasażerka wróciła do przedziału i po chwili ukazała się ponownie, dźwigając neseser, pokryty nalepkami i torbę podróżną.

Młody człowiek pomógł jej ustawić neseser i przeniósł wzrok na nią. Miała trzydzieści parę lat, ale wyglądała na mniej; w każdym razie tak mu się wydawało. Wyjęła z torebki puderniczkę i nylonową szczotkę, poprawiła makijaż i fryzurę, po czym zaczęła nakładać rękawiczki. Jej ubranie i gesty, zapach perfum i kolor włosów nawet — wszystko upewniało go, że jest nietutejsza.

— To pani też wysiada na następnej stacji? — rzucił od niechcenia.

— Tak.

— Ja również — oznajmił, nie mogąc oderwać wzroku od jej neseseru, choć siłił się, żeby ukryć swoje zainteresowanie.

Nie wytrzymał jednak.

— Ale się pani napodróżowała po świecie. Stockholm — Praha — Budapest — Wien — Venezia — odczytywał nalepki — a teraz przyjeżdża pani do takiej dziury.

- Jest to moje miasto rodzinne.
- Co pani mówi?
- Wychowałam się tu i chodziłam do szkoły.

Stała przy oknie i wpatrzyła się w ciemną noc. Mijały małe stacyjki, które pamiętała od zawsze, które zostawiała za każdym razem po drodze do kraju swego dzieciństwa, jak słupy znaczące kierunek do oznaczonej mety.

Z każdą chwilą przybywało światła, mignęły podmiejskie domki, otoczone ogródkami, potem most kolejowy, młyn parowy, który zaczęły się przecinać, rozdając i rozchodząc, błysnęły kolorowe sygnały i pociąg gwizdząc przeraźliwie wtoczył się na stację.

- Czy po pani będzie ktoś na dworcu? — usłyszała poprzez gwizd pociągu.
- Nie zdążyłam zatelefonować.

Tymczasem pociąg stanął. Młody człowiek pomógł jej wysiąść i wziął bagaże. Razem podążyli ku wyjściu.

Kiedy wyszli na ulicę, pasażerka na moment przystanęła i wciągnęła głęboko powietrze w płuca, jak gdyby chciała się upewnić, że jest znowu tutaj, że od-dycha aromatem tego miasta, że czuje jego smak jedyny, odmienny niż gdziekolwiek indziej na świecie.

- Czy pozwoli pani, że ją odprowadzę?
- Będę musiała wziąć taksówkę.
- Taksówki są dopiero na rynku.
- Wiem.
- Więc odprowadzę panią na rynek. Zawsze to jest noc.
- Dziękuję panu, chociaż nie boję się tu iść sama nocą, choćby na Drogę Grabowską.

Ruszyli pustą ulicą w kierunku rynku. Pasażerka spoglądała na szyldy i wystawy sklepowe, na ogród, otaczający kasyno oficerskie i kolejarza, zmierzającego na nocną zmianę, na zamknięte okna i uśpione balkony, z tym wyrazem zaufania, z jakim w dzieciństwie ogląda się ukochaną książkę, w której na pamięć zna się każdy następny obrazek, co nie tylko nie zmniejsza jej uroku, lecz przeciwnie, daje poczucie bezpieczeństwa i gwarancję, że wszystko jest w porządku, że nic niewiadomego nagle zza węgła nie wyskoczy, że, jednym słowem, absolutnie nic złego stać się nie może.

— To pani idzie aż na Drogę Grabowską? — przerwał milczenie młody człowiek. — Kogo tam pani ma?

— Mieszkał tam mój dziadek, ale umarł. Właśnie przyjechałam na jego pogrzeb.

Młody człowiek aż stanął ze zdumienia.

— Czyżby ten stary... pan, co mieszkał w takim obdrapanym domu, z zachwaszczonym ogrodem...?

- Tak, to był mój dziadek.
- Nigdy nie przyszło by mi do głowy, że może mieć taką wnuczkę.

Tymczasem doszli do kwadratowego rynku, z ratuszem pośrodku, przed którym istotnie stały taksówki. Milicjant przejechał na rowerze, kot przebiegł jezdnię. Jakiś zapóźniony pijak wyszedł z baru i szedł zataczając się. Na słupie z ogłoszeniami wisiał naderwany plakat o zawodach żużlowych.

— W tym roku nasi żużlowcy — podjął młody człowiek — pani wie, że żużlowcy z naszego miasta są najlepsi w całej Polsce? — wyjeżdżali do Berlina i zajęli drugie miejsce.

— Nie wiedziałam. To znaczy nie wiedziałam, że wyjeżdżali do Berlina. A pan może też jest żużlowcem?

— Nie — odpowiedział — ja jestem skoczkiem spadochronowym.

Teraz przyszła kolej zdumienia na nią.

- Czym pan jest?
- Skoczkiem spadochronowym.
- I gdzie pan skacze?

— Na lotnisku. Oczywiście podczas wakacji. Bo ja jestem na trzecim roku politechniki we Wrocławiu.

— A gdzie jest to lotnisko? We Wrocławiu?

— Nie. Tutaj.

— Jak to tutaj? W naszym mieście jest jakieś lotnisko?

— Niezupełnie w mieście. Mniejsza zresztą o to gdzie, dość, że jest.

Zajęci rozmową, zapomnieli o taksówce. W każdym razie ona przestała się upierać, że musi jechać, co właśnie było jego zamierzeniem. Minęli rynek i pograżyli się w słabo oświetloną ulicę Kaliską.

— I skacze pan dla sportu?

— To też — odpowiedział z niejakim zdziwieniem, jakby ta możliwość dopiero teraz przyszła mu do głowy — ale głównie dla pieniędzy. Za skok dostaje trzysta złotych. A gdybym się zabił, rodzina otrzyma dwadzieścia tysięcy, to dużo, prawda?

— Nie wiem.

Minęli jeszcze parę domów, sklep z narzędziami rolniczymi, zajezdnię autobusową, warsztat kamieniarski i znaleźli się w mrocznej alei, wysadzonej wysokimi jak u Hobbemy drzewami, wzdłuż której stały domki i wille, ukryte w zieleni.

Zatrzymali się przed w żelazie kutą furtką, wiodącą do mocno zaniedbanego ogrodu, przez który ciągnął się ganek, wyłożony płytami, zarosniętymi zielskiem. Wszli.

Młody człowiek ogarnął wzrokiem obszerny, uspiiony w tej chwili, staroświecki dom, który naraz ze swoimi tarasami, obrośniętymi dzikim winem, kamienną fontanną i wieżyczką zrobił na nim wrażenie tajemnicze i fascynujące, jak ta kobieta o księżycowych włosach, która objechała pół Europy i wysiadła na stacji tego prowincjonalnego miasteczka, co ciągle jeszcze wydawało mu się absurdalne i trochę nieprawdziwe.

— Dziękuję panu. To było bardzo miłe z pana strony.

Ujął jej wyciągniętą rękę i przez chwilę przytrzymał.

— Czy długo tu pani zostanie?

— Pewnie kilka dni.

Włożyła klucz do zamku, przekreśliła go i próbowała otworzyć, ale drzwi nie puszczały.

— Widocznie Wiktoria zamknęła na łańcuch. Muszę zadzwonić.

Dzwonek był staroświecki, z długą rączką. Gdy pociągnęła za niego, zadźwięczał, jak dzwon przy furcie klasztornej.

— Czy będzie pani można gdzieś zobaczyć? — zapytał pośpiesznie.

— Naprawdę nie wiem. Słyszę kroki. Jeszcze raz dziękuję i do widzenia.

Teraz i on usłyszał kroki. Spłoszony wycofał się z ogrodu i przywarował w cieniu drzew.

Najpierw w drzwiach zrobiła się wąska, jasna szpara, potem szpara gwałtownie rozrosła się i na tle oświetlonego prostokąta zjawiała się masywna postać w kwiecistym szlafroku i okularach na nosie.

— Dzięki Bogu, że pani przyjechała. Ale trzeba było zatelefonować. Mrugasiwicz byłby przyszedł na dworzec i nie potrzebowałaby pani brać taksówki.

Mówiła tonem ścisłym z niemiecka rulując literę „r“.

— Dałam sobie jakoś radę — odpowiedziała pasażerka.

— Ale kto tam stoi za sztachetami?

— Nie widzę nikogo.

— Teraz wszędzie wóczy się tyle lumpów — z tymi słowami Wiktoria pociągnęła pasażerkę do wnętrza domu. Uściskały się.

Hall był duży, zawieszony rogami i wypchanymi ptakami. Przed zamkniętymi drzwiami, piętrzyły się żałobne wieńce.

— To tam leży dziadek? — zapytała pasażerka.

— Dziś rano trumna została przewieziona do kaplicy na starym cmentarzu. Nie mogliśmy dłużej czekać z powodu upałów. Poza tym pani hrabina mówiła, że nie wiadomo, czy pani zdąży z zagranicy na pogrzeb.

— A te wieńce?

— To te, co dzisiaj przysłali. Jej, co starszy pan kwiatów dostał. Ale najładniejszy wieniec, to ten.

Wskazała na okazały wieniec, ozdobiony białą-amarantową szarfą, z napisem: „Antoniemu Wilkońskiemu, doktorowi filozofii, powstańcowi Wielkopolskiemu,

odznaczonemu Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Powstańców — Dawni Kombataneci“.

— Mają nieść trumnę — dodała poufnie Wiktoria.

— Kto?

— Kombataneci. Ale niech pani wejdzie do swego pokoju. Zaraz zrobię kolację.

— Napiję się tylko herbaty.

Pasażerka weszła do pokoju, złożonego z resztek dawnego salonu i sypialni. Na ścianach wisały miniatury, a na komódce pod lustrem stały dwa srebrne, siedmioramienne, rokokowe kandelabry.

W tej chwili do pokoju wbiegł kot czarny z białymi łapkami. Pasażerka wzięła go na ręce i przytuliła do twarzy.

Weszła Wiktoria z filiżanką herbaty.

— Czy jest kielbasa? — zapytała pasażerka.

— Od kiedy pani je kielbasę? Ach, to dla kota. Kot dostał już kolację. Ale niech pani się rozbierz.

Pasażerka zdjęła płaszcz i usiadła na kruchym rzeźbionym krzeselku, wskazując Wiktorii fotel.

Dawna kucharka przysiadła na fotelu w wyczekującej postawie.

— Czy dziadek umarł nagle?

— Pierwszy atak nastąpił przed dziesięciu dniami.

— Dlaczego natychmiast nie zawiadomiliście mnie?

— Starszy pan nie dał. Mówił, że czuje się lepiej. Tak się cieszył, że pani pozna Włochy, Wenecję. Ale ja sobie myślałam, że trzeba zawezwać księdza, chociaż starszy pan chodził do kościoła tylko w wielkie święta i za zaproszeniem, jak przyjeżdżał biskup.

— I co?

— Przyszedł proboszcz. A starszy pan powiedział: „Niech Wiktoria zapali kandelabry“. Od razu poznałam, że to na śmierć.

— Czy bardzo się męczył?

— Wcale nie. A wciąż pytał o listy. Mrugasiewicz musiał jeszcze wieczorem chodzić na pocztę. Jakże to szczęście, że mamy lokatora, który jest listonoszem.

— Czy mój ostatni list dostał jeszcze?

— Starszy pan umarł w nocy, a list przyszedł nazajutrz rano. Nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Leży na biurku. Razem z rachunkami.

— Pieniądzy starczyło?

— Starszy pan miał na pogrzeb odłożone na PKO.

— Kto się tym wszystkim zajął?

— Wszyscy. A najwięcej syn pani hrabiny, który przyjechał na urlop. I moja Iwonka też mu pomagała.

— O której pogrzeb?

— O w pół do czwartej. Żeby ludzie zdążyli przyjść z pracy. Przecież na pogrzeb starszego pana pół miasta pójdzie. Ale, ale czy ma pani czarne pończochy i welon?

— Pończochy zdążyłam kupić, ale welon...

— Od razu wiedziałam, że pani nie będzie miała welonu — powiedziała Wiktoria z zadowoleniem. — Ale niech się pani nic nie martwi. Pożyczę pani swój. Z żałoby po nieboszczyku mężu.

Zniknęła i po chwili wróciła z welonem w ręce.

— Gdzie pani ma kapelusz?

Pasażerka wyjęła z torby podróżnej czarny kapelusz, do którego Wiktoria zaczęła przypinać żałobną krepe.

— Mam nadzieję, że ktoś z rodziny przyjedzie. Że nie pójdę sama jedna za trumną.

— Telegrafowałam do Poznania. W każdym razie jest pan mecenas Rennert. Prosił, żeby pani zaraz po przyjeździe zatelefonowała.

— Zatelefonuję jutro.

— A teraz niech się pani kładzie. Starszemu panu i tak pani nic nie pomoże. Już on tam przed sądem boskim stoi. A panią czeka jeszcze pogrzeb i stypa.

Nazajutrz słońce prażyło jak w lipcu. Na basenie gwarно było i rójno, gdyż cała młodzież wyległa, żeby użyć ostatnich dni lata. Nagle w tę wrzawę i śmiechy wpadł żałobny ton dzwonów, które wysoko zawieszone na wieży kościelnej, górowały nad całym miasteczkiem, a kiedy się rozdzwoniły, głużyły wszelkie inne dźwięki: krzyki dzieci, wrzaski uliczników, jazgot kumoszek, warkot motocykli i wycie fabrycznej syreny.

Na plaży, nad basenem rozbawione głosy także zostały na moment zgłuszone ich potężnym brzmieniem, spod którego nie sposób było się wymknąć, miasteczko było bowiem zbyt małe, ażeby dwie sprawy mogły się w nim dziać równolegle, obojętne, czy był to pogrzeb, Boże Ciało, czy wyścigi motocyklowe. A jeżeli nie wszyscy brali aktywny udział w każdej imprezie czy uroczystości, chcąc nie chcąc odczuwali jej działanie.

Tak samo i teraz. Młodzi ludzie płasko rozciągnięci na piasku na chwilę odwrócili głowy w kierunku wieży kościelnej, a jeden z nich podniósł się i od niechcenia niby zaczął się ubierać.

Ale manewr ten nie uszedł uwagi jego towarzyszy.

— Co się stało? Odchodzisz? A kto to umarł?

Ale tego nikt na plaży nie wiedział. A w każdym razie nie dał odpowiedzi. Zagadnięty również milczał, jakby było coś wstydliwego w fakcie, że wybierał się na pogrzeb człowieka, którego śmierć uchodziła świadomości jego rówieśników. W milczeniu ubrał się i odszedł w kierunku starego cmentarza.

W kaplicy cmentarnej na katafalku grabarze kończyli zabijać trumnę, obstawioną szpalerem oleandrów i olbrzymimi świecznikami, w których płonęły grube woskowe świece. Stosy wieńców i wiązanek świadczyły o randze nieboszczyka.

Teraz podeszli starsi panowie, z których najmłodszy był po sześćdziesiątce i stękając wzięli trumnę na ramiona. Ubrani byli czarno, a w klapach od marynarek mieli skromne krzyżyki — odznakę Powstania Wielkopolskiego.

Uformował się kondukt żałobny.

Za trumną szła wnuczka zmarłego, spowita w czarne krepy, niemożliwa do rozpoznania w tym przebraniu. Prowadził ją suchy starszy pan, mecenas Renert, kuzyn, o twarzy strapionego satyra. Dalej kuzynka, wysoka elegancka pani, w czarnym kostiumie, wsparta na ramieniu męża, małego dziennikarza, strzelającego ciekawie oczyma, jak to dziennikarze mają w zwyczaju. Przy nich dwunastoletni chłopiec w harcerskim mundurku, Krzys.

Za rodziną stara hrabina, lokatorka zmarłego, z synem, po którego postawie znać było dawnego kawalerzystę; prezes sądu, łysy, z laską, w wytartym ubraniu emeryta; pani Tosia, wdowa po sześćdziesiątce, jeszcze w pretensjach, ostatnia flamma zmarłego, wieloletnia przyjaciółka domu i partnerka od bridża.

Potem miejscowa inteligencja, ubrana solidnie i niemodnie, wmieszana w tłum ludzi o nieokreślonym wieku i nieokreślonych zawodach, z których każdy był kiedyś w miasteczku jakąś znaczną osobistością przynajmniej w swoim mniemaniu, a przez wojnę, rewolucję i starość postradał dawno pozycję i jedynie na pogrzebie jakiejś bezspornej znakomitości, miał okazję zamanifestować swoją z nią solidarność i przynależność — jeśli nie do jednej klasy, to do jednej generacji, z której coraz kogoś ubywało.

Dół był już wykopany. Spuszczono trumnę. Ksiądz zaczął odmawiać łacińskie pacierze, wszyscy poklekali, potem wstali. Na dany przez księdza znak wnuczka zmarłego rzuciła na trumnę grudkę ziemi. Za nią poszli inni. Ale tylko rodzina i przyjaciele. Pani Tosia ostentacyjnie upuściła różę.

Potem grabarze wzięli się za łopaty.

Żałobnicy jeszcze postali przez chwilę — gromadka najbliższych otoczyła postać spowitą w żałobne krepy i zaczęła jej składać kondolencje.

Powoli ludzie się rozchodzili.

Rodzina podażyła w kierunku bramy cmentarnej, przed którą stały dwa samochody. Przy wyjściu postać w żałobie otarła się omal o młodego człowieka w koszuli khaki i spodniach farmerskich, ale najprawdopodobniej wcale go nie dostrzegła.

Żałobnicy wsiedli do samochodów i pojechali do domu zmarłego, gdzie czekała już na nich stypa, przygotowana w bibliotece przez Wiktorię.

Biblioteka, a zarazem pracownia i sypialnia zmarłego, był to duży pokój — wszystkie pokoje w tym domu były wysokie i duże — zastawiony gdańskimi meblami. Jedną ścianę zajmowały półki z książkami. Naprzeciw wisiał portret zmarłego. Z sufitu zwisała się lampa w kształcie Meluzyny. Na biurku były ustawione jakieś przedmioty pochodzące z wykopalisk.

W tej chwili ten dostojny gabinet był zamieniony na jadalnię. Po środku stał stół, zastawiony starą porcelaną i srebrem, dokoła którego siedziało dziewięć osób.

Stary, łysy pan, emerytowany prezes sądu, a zarazem przyjaciel zmarłego, uderzył w kieliszek na znak, że chce mówić i powstał.

— Drodzy państwo, a przede wszystkim — tu zwrócił się w stronę pasażerki — droga Magdaleno. Zebraliśmy się tutaj, ażeby oddać ostatnią przysługę zmarłemu, którego dom stanowił nieodłączną całość naszego miasta, należał po prostu do jego tradycji. Toteż myślę, że wyrażam nie tylko swoje osobiste pragnienie i nie tylko tu zebranych, ale mieszkańców tego miasta, jeśli powiem, że cieszylibyśmy się niezmiennie, gdyby wnuczka zmarłego zachowała ten dom dla siebie i tu zamieszkała. I co ty na to, Magdaleno?

— Z domem mojego dziadka łączą mnie wspomnienia całego dzieciństwa. Jest to mój dom rodzinny. Ale jak państwo wiedzą jestem scenografem. Jestem związana z teatrem i stolicą. Nie mogę więc tu przenieść się na stałe. Chciałabym jednak przyjeżdżać tu na wakacje i spędzać święta, jednym słowem zachować ten dom, choć nie wiem, czy będzie to w mojej mocy.

Magdalena wypowiedziała to zwięźle i płynnie, jak wygłasza się wyuczoną na pamięć kwestię. W istocie była to odpowiedź na pytanie, które stawiała sobie bez przerwy w ciągu pięciu godzin podróży pośpiesznym pociągiem, wiedząc z góry, że właściwie nie ma wyboru, co jednak nie uwalniało jej od podjęcia próby działania, bez względu na to, że wynik ostateczny był z góry przesądzony.

— Jeżeli tu nie będziesz mieszkała — odezwał się kuzyn adwokat — wątpię, czy uda ci się zatrzymać choć jeden pokój. Chyba, że zameldujesz kogoś fikcyjnie.

— To wielka szkoda — wtrąciła stara hrabina, trzęsąc siwą głową przy czym lekko drżały w jej uszach olbrzymie perły, pozostałość dawnej fortuny. — To wielka szkoda, że zajęcia zawodowe zmuszają panią do mieszkania w stolicy. Zdawałoby się, że jako malarka nie jest pani niczym skrepowana. Tu też mogłaby pani tworzyć.

— Ale z czego ja bym tu żyła?

— Trzeba na sprawy patrzeć realnie — zauważył kuzyn. — Co do mnie radziłbym wszystkim zlikwidować.

— Nie chciałabym, żeby tu mieszkali obcy ludzie. Gdyby ktoś z państwa mógł zająć mieszkanie po dziadku... — Magdalena powiedziała wzrokiem po zebranych.

— Może by mój syn znalazł tu zajęcie? Co myślisz o tym, Żbik? — podjęła skwapliwie stara hrabina.

Żbik odwrócił małą rasową głowę w stronę Magdaleny.

— Bardzo bym się cieszył, gdybym mógł się pani przysłużyć, ale wątpię, czy znalazłbym tu pracę w swoim zawodzie. Poza tym nie wyobrażam sobie życia w mieście.

— Tu jest ogród, mógłbyś... — szukała wyjścia stara hrabina.

— Nie wiem, co bym mógł... Rzecz w tym, że nie nie mogę.

— Hodować norki? — poddała matka. — Teraz wszyscy hodują.

— W mieście nie wolno hodować norek — powiedział z satysfakcją kuzyn adwokat. Było widać, że nie znosi Żbika. — Chyba pszczoły.

— Słyszysz, Żbik, mógłbyś hodować pszczoły.

Od stołu podniosła się kuzynka i podeszła do Magdaleny.

— Pozwolisz, że wstaniemy — za czterdzieści minut odchodzi pociąg do Poznania.

— Za nią podniósł się mały dziennikarz i chłopiec w harcerskim mundurku.

— Tak, musimy już jechać.

Magdalena dała znak. Wszyscy podnieśli się i rozbili na małe grupki.

— Dziękuję ci, Tereso, że przyjechałaś. — Magdalena ucałowała kuzynkę.

— Ja miałabym nie przyjechać? Czy ty wiesz, czym w dzieciństwie był dla

mnie dom wuja Antoniego? Nie umiem sobie wyobrazić, że go już nie będzie. Był jak arka dla całej rodziny...

— Tyle rzeczy się stało i ciągle się staje, których przedtem nie mogliśmy sobie wyobrazić — na przykład sputniki. — Zazartował mały dziennikarz. Po czym poważnie do Magdaleny — Zamieszczę wzmiankę o śmierci twego dziadka w gazecie poznańskiej.

Zaczęły się pożegnania.

— Gdybyś tu zamieszkała, dziadek by ci tego nigdy nie darował — powiedziała pani Tosia, obejmując Magdaleny. — Był taki dumny z twego talentu. A tu co by cię czekało? Skisłabyś, jak my wszyscy.

— Dlaczego miałaby skisnąć? — wmieszał się kuzyn adwokat. — Przecież tu mieszka przeszło trzydzieści tysięcy ludzi.

— Ale to jest już inny, nowy świat — odpowiedziała pani Tosia. — Nie ma w nim miejsca na takie domy.

— Gdybyś coś potrzebowała, zatelefonuj do kancelarii. Jestem zawsze do twojej dyspozycji.

Magdalena wyprowadziła gości do hallu.

W pustej bibliotece została stara hrabina i Żbik.

— No, jakże ci się podobała?

— Owszem. Ale niechże mama da spokój.

— To by było dla wszystkich dobrze.

— Kiedy ja nie mam zamiaru się żenić.

— Nie chciałabyś znowu mieć domu?

— Nie mam już sił ani ochoty walczyć o stracone pozycje.

— Co masz na myśli?

— Ten dom. Czy mama nie widzi, że jest anachronizmem w naszych czasach?

— Jeżeli Magdalena wyjedzie, a ty odmawiasz wzięcia udziału w kampanii...

— Odmawiam.

W tej chwili do biblioteki weszła Wiktoria, ubrana w ciemną suknię z białym kołnierzykiem, spiętym broszką. Wprawnym spojrzeniem zlustrowała pokój, po czym zwróciła się w stronę otwartych drzwi i zawołała — Iwonka! Iwonka!

Na to wezwanie zjawiła się dwudziestoletnia dziewczyna z zadartym nosem i z końskim ogonem, ubrana w szeroką spódnicę i obcisły pulawerek, podkreślający jędrne piersi.

Była to córka Wiktorii, studentka.

Obie z matkąabrały się do sprzątania ze stołu.

Za chwilę wróciła Magdalena.

— Chciałabym państwu za wszystko podziękować. Mówiła mi pani Budkowa — Magdalena wskazała na Wiktoria — że pan — to do Żbika — zajął się całym pogrzebem.

— Cieszę się, że choć raz mogłem się na coś przydać. Zwykle czuję się zupełnie niepotrzebny. Zresztą pomagała mi panna Iwonka.

— Więc i tobie, Iwonko, dziękuję — Magdalena ucałowała młodą dziewczynę, która przyjęła to z niejakim zażenowaniem.

— Co też pan mówi, że czuję się niepotrzebny?

— Zdaję sobie sprawę, że świat należy dziś do młodych, bez obciążeń psychologiczno-tradycjonalistycznych. Takich, jak panna Iwonka.

— Pan też nie jest jeszcze stary — rzuciła Iwonka w jego stronę niepewnie.

— To my już pożegnamy panią — odezwała się stara hrabina, niezadowolona z wciągnięcia do rozmowy Iwonki. — Gdyby syn mógł się pani na co przydać... — Zawsze służę — Żbik stuknął obcasami.

Stara hrabina wyniosła się z biblioteki, uprowadzając ze sobą Żbika. Iwonka zabrała tacę z kieliszkami i wyszła także.

W bibliotece zostały dawna kucharka i wnuczka zmarłego — same.

— Muszę z panią pomówić — zaczęła Wiktoria.

— Słucham.

— Mam dla pani dobrych lokatorów. On jest dentystą. Młode małżeństwo. Nie chciałam pani mówić przed pogrzebem, żeby pani nie denerwować, ale ten szewc z przeciwka już był w kwaterunku po mieszkanie po starszym panu.

— I tu chcą założyć warsztat szewski?

— Warsztat zostałby tam. Tu chcą tylko mieszkać. Już przychodzili do mnie, żebym ich wpuściła. Chcieli wymierzyć metraż. Obiecywali mi złote góry.

— I co, puściła ich Wiktoria?

— Skąd. Od śmierci starszego pana stale trzymam drzwi zamknięte na łańcuch. Dlatego nie poszłam na pogrzeb. Żeby się nie włamali.

— Dziękuję Wiktorii.

Wiktoria spuściła oczy.

— Ale pani i tak tego mieszkania nie utrzyma.

— Chciałabym zachować dla siebie choć jeden pokój!

Wiktoria zignorowała tę uwagę.

— Moim zdaniem ma wziąć ten szewc z przeciwka za pani plecami, niech lepiej weźmie dentysta i się z panią ugodzi. I mówił, że kupiłby meble z biblioteki. Pieniądze się pani przydadzą. Ten dentysta ma jutro tu przyjść.

W tej chwili rozległ się przeszywający dzwonek.

— Kto to może być? Czy to już z kwaterunku? — przeraziła się Magdalena. — Czy już zaraz będą mnie wyrzucać?

Ale nie. To nie był nikt z kwaterunku. Tylko Józef Tomala. Dawny ordynans zmarłego. Wiktoria wpuściła go do biblioteki.

— Niech będzie pochwalony.

Magdalena wyciągnęła do niego rękę i wskazała krzesło.

Józef Tomala istniał w jej życiu jak tylko sięgała pamięcią. Bywał dwa, trzy razy do roku, przynosił trochę jabłek, czasem gomółkę sera, przeważnie nic. Przychodził w celach towarzyskich. Rozmowa obracała się zawsze na te same tematy, parę lakonicznych uwag o gospodarce i bieżącej sytuacji politycznej, po czym długie wspominki z okopów. Był to stary chłop wielkopolski, siwy, wąsaty, czernstwy, ubrany w czarny surdut i czarny kapelusz. Stapał wolno i z namaszczeniem po lśniącym parkiecie, uważnie złożył łaskę i kapelusz na krzesło, wyjął chustkę do nosa, obtarł oczy i nos, schował chustkę i zagał rozmowę.

— Ano, zmarło się starszemu panu. Ale piękny miał pogrzeb.

— Dziękuję panu Tomali, że przyjechał. Dziadek byłby się ucieszył.

— To także bym nie miał przyjechać. Przecież my ze starszym panem żyli ze sobą, jak bracia. Raz, to już kruczo z nami było. Starszy pan był wtedy lejtnantem i miał konia. A ja byłbym się ostał. To jak na mnie nie wrześnie: „Józef, konia za ogon łąp“ — to ja złapałem i tak my owałowali do naszych, to znaczy wtedy niemieckich okopów.

— Tak, wiem. Dziadek mi opowiadał. A potem w Powstaniu...

— Powstanie teżemy obadwa robili. Starszy pan był wtedy hauptmanem: „Józef — powiada — będziemy Powstanie robić“ — i zaraz żeśmy polskie orzelki do tych szwabskich mundurów przypieni i zaczęli wojować z Gränzschutzem.

— Tak, wiem.

— A teraz kiedy pan starszy zmarł — została pani sama.

— Tak, sama.

— Ale ten dom pani odziedziczyła? Bo innych sukcesorów nie ma?

— Nie. W prostej linii tylko ja jedna.

— Bo ja po prawdzie to przyszedłem do pani z prośbą. Może by pani tak jeden pokój wynajęła mojej córce, Nastusi, co to kiedyś u pani mamy była pokojówką. Ona mieszka teraz na wsi, ale chciałaby dzieci kształcić. Strasznie zdolnego ma chłopaka. A mąż też musi dojeżdżać do pracy.

— Cieszyłabym się, gdyby tu mieszkała Nastusia, ale pewnie obydwaj pokój mi zabiorą.

— A czy kwaterunek musi wiedzieć, że jeden pokój jest panin? Może myśleć, że obydwaj są córki. Ich jest czterech ludzi.

— A wystarczy im jeden pokój?

— Pewnie, że wystarczy. Pani wie jak to na wsi. Choć mają dwie izby, śpią w jednej, a druga jest dla gości. To także będzie?

— Muszę się zastanowić. Niech pan przyjdzie jutro.

— Proszę mi z łaski swojej darować, że dziś z tym przyszedłem. Ale pani wie, jak to teraz jest z mieszkaniem. To ja już pójdę. Niech będzie pochwalony.

— Dobranoc.

Wyprowadziła pana Tomale.

W wielkim pustym hallu wypchane ptaki rzucały na ścianę fantastyczne cienie. Przez otwarte drzwi wbiegł kot i zaczął się łaścić do jej stóp.

Nazajutrz była niedziela.

W obszernej kuchni pełnej słonecznego blasku stała Iwonka i gotowała kompot, nucąc piosenkę Edith Piaff.

Otworzyły się drzwi i wszedł Żbik.

Ubrany był jak do konnej jazdy w długie buty, bryczesy i pulower. W rękę trzymał — nie jak należałoby oczekiwać szpicrutę, lecz — czajnik.

— Dzień dobry, panno Iwonko. Od rana wesoła?

— Pewnie, że wesoła.

— Czy można nastawić herbatę?

— Tylko jeden gaz zajęty.

Nalał wody do czajnika, zapalił gaz i postawił czajnik, sięgnął do kieszeni po papierosy i podał Iwonce. Potrząsnęła głową. Wobec tego zapalił sam i stanął pod oknem, zasłoniętym kolorową firanką.

W bezlitosnym świetle południa było widać głębokie wżłobienia dookoła jego ust i fałdy za uszami. Był opanowany, zgorzkniały i pewny siebie pewnością absolutnej przegranej, co dawało mu zasadniczą przewagę nad nią.

— Co to było, co pani nuciła?

— Edith Piaff. Czy może zna pan tę piosenkę?

— Nie znam. A jaki jest pani ulubiony wiersz?

— Wierszy uczyłam się w szkole. Teraz nie mam ulubionego wiersza. A pan ma.

— Mam.

— Jaki?

— Nie będzie się pani podobał.

— A o czym on jest?

— O mnie.

— I pan go ułożył?

— Nie ja.

— Niech pan powie. Strasznie jestem ciekawa.

Oparł się o okno i od czasu do czasu pociągając papierosa tak, że dym przesłaniał jego twarz, zaczął deklamować nie patrząc na nią:

„Przeżyłem swoją młodość dumnie i bogato,
Dla własnej przyjemności i dumniom na złość
W skwarze pocałunków ubiegło mi lato
I prawdę powiedziawszy mam wszystkiego dość.
Ustrojona w purpurę, bogata od złota
Nie uwiedzie mnie jesień czarem zwiędłych kras,
Jak pod pudrem i szminką starsza już kokota
Na którą młodym chłopcem nabrałem się raz...
A przeto jestem gotów...”

— Dlaczego pan urwał?

— Niech będzie pochwalony — rozległo się naraz i w progu stała Wiktoria w rękawiczkach, kapeluszu, z torebką i książką do nabożeństwa w ręku.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli oboje.

— Zrobiłaś kompot, Iwonko?

— Tak, mamo.

Żbik schwycił czajnik i wyniósł się z kuchni.

— Co on się tak poderwał na mój widok? — spytała Wiktoria podejrzliwie.

— Woda się zagotowała.

— Ty sobie nie zawracaj nim głowy. Nie zapominaj, że to były hrabia. I tak by się z tobą nie ożenił.

— Przecież on jest już stary. Zresztą, jakby przyszło co do czego, jeszcze nie wiadomo kto kogo by nie chciał. Nie po to studiuje na uniwersytecie, żeby wyjść za mąż do pegeeru — zagadywała.

— Zawsze to jest wielki pan — mniemała Wiktoria, a po chwili dodała od niechcienia:

— Stara hrabina chce, żeby on ożenił się z nią.

— Skąd mama wie?

— Już ja wiem. Nie darmo trzydzieści lat spędziłam w tym domu. Ale ona mu się nie podoba. Poza tym...

— Co poza tym?

— On widać woli bez małżeństwa — skoro dotychczas...

W tej chwili do kuchni weszła Magdalena. Jej trójkątna, mizerna twarz i niebieskawe włosy stanowiły niepokojący kontrast z hożą młodością Iwonki.

— Dzień dobry Wiktorii. Chciałabym pójść do kawiarni. O której mam przyjść na obiad?

— Na obiad? — Wiktoria uniosła w górę brwi na znak zdumienia.

— Tak, na obiad. Dlaczego Wiktoria się tak dziwi?

— Proszę bardzo. Kuchnia będzie za godzinę do pani dyspozycji. Może pani sobie obiad zrobić.

— Co się stało?

— Co się miało stać? Nie jestem pani kucharką. Starszemu panu prowadziłam dom, jak była umowa, a do pani się nie godziłam, i nie jestem dla pani żadną Wiktorią...

— Nie chciałam pani Budkowej urazić. To z przyzwyczajenia. Znamy się od lat trzydziestu.

— Właśnie. A pani chce mi takie świństwo zrobić.

— Ale co ja takiego zrobiłam?

— To ja wystarałam się dla pani o przyzwolonych lokatorów, a pani mi tu chce brudnych chłopów ze wsi sprowadzić, na dodatek z dziećmi? Żeby mi zabrudzili kuchnię i zadeptali parkiety? To ja pani własny welon dałam, a pani szachruje za moimi plecami...

— Myślałam, że to jest mój dom.

— Dom był starszego pana. A pani jest zameldowana w Warszawie.

— Ale co pani Budkowa ma przeciwko Nastusi? Przecież Nastusia była pokojową przy Wiktorii, to jest przy pani Budkowej.

Na twarz Wiktorii wystąpiły czerwone plamy.

— To co, że była? Pani musi zapomnieć o tych czasach, kiedy tu mieszkali tylko państwo i służba — urwała przestraszona wypowiedzeniem najtajniej-szych swoich myśli.

— W mieście brak mieszkań — zaczęła innym tonem — a pani chce chłopów ze wsi sprowadzać? Wiele pani Tomala obiecał? Darńmu mu pani chce oddać mieszkanie? Zresztą kwaterunek nigdy się na to nie zgodzi.

— Jeżeli kwaterunek się nie zgodzi, to nie ma o czym mówić. Nie widzę powodu...

— Nie widzi pani powodu? A zresztą, co mnie to obchodzi? Jestem zwyczajną lokatorką, jak pani hrabina, i koniec.

— Tak, mamusia jest zwykłą lokatorką — poparła matkę Iwonka.

— Za godzinę kuchnia będzie wolna — oświadczyła Wiktoria, dając tym samym Magdalenie do poznania, że powinna stąd wyjść. Co też uczyniła.

Kawiarnia mieściła się na rynku. O tej porze, zwłaszcza w niedzielę, zawsze było w niej pełno, tak że Magdalena z trudem znalazła wolny stolik. Zamówiła kawę. Na estradzie stary muzyk, który skończył w Lipsku konserwatorium, grał „Hochzeitstag auf Trolldhaugen“ Griega, co natychmiast przeniosło ją do dawnego salonu, gdzie o zmierzchu grywała na fortepianie jej matka. Pograżona w medytacjach, nie zwróciła uwagi na sąsiedni stolik, przy którym siedziało młode towarzystwo, ubrane według mody z *Przekroju*. Nagle poczuła na sobie czyjś natarczywy wzrok. Niechętnie spojrzała w tamtą stronę. W tej chwili młody człowiek w koszuli khaki i spodniach farmerskich powstał i z niejakim wahaniem zbliżył się do niej.

— Czy pani mnie poznaje? — zapytał.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to on wsiadł w Kaliszu do pociągu i potem odprowadził ją z dworca do domu, tak że nie potrzebowała brać taksówki.

— Naturalnie, że poznają. Dzień dobry panu — wyciągnęła rękę, którą on pocałował.

— Czy można się przysiąc na chwilę?

— Proszę.

— Nie spodziewałem się spotkać pani w kawiarni.

— Zawsze tu przychodzę na kawę, kiedy przyjeżdżam do miasteczka. A dziś w dodatku będę musiała pójść do restauracji na obiad.

— A przedtem gdzie pani jadła?

— W domu. Ale dawna kucharka zrobiła mi dziś awanturę, że bez porozumienia się z nią chciałam oddać jeden pokój. I powiedziała, że nie ugotuje mi obiadu.

— A po obiedzie? Co pani będzie robiła po obiedzie?

— Nie wiem. Pewnie będę pakować.

— A nie chciałaby się pani przejść trochę? Taki cudowny dzień mamy. Jak w lipcu.

— Przejść się? Z panem?

— Tak. Ze mną.

— Dokąd?

— Dziś są zawody żużlowe.

— Zdaje się, że nie mogę na drugi dzień po pogrzebie dziadka iść na zawody żużlowe. I nie mam nawet ochoty. Właściwie chciałam iść na cmentarz.

— Przyjdę na cmentarz.

— Za murem, z drugiej strony cmentarza jest ławka. Przynajmniej była tam zeszłego roku.

— Będę tam czekał.

— O czwartej.

— O czwartej.

Pomyślała, że pani Tosia, stara hrabina, emerytowany prezes sądu i Wiktorii (która do niedawna liczyła się na równi z tamtymi) a nade wszystko dziadek uważaliby to za niewybaczalną ekstrawagancję, gdyby na drugi dzień po jego pogrzebie poszła na randkę z chłopcem poznanym w pociągu i co najmniej o dziesięć lat młodszym od niej, ale właśnie dziadek nie żył, a to poniekąd, a nawet zasadniczo zmieniło sytuację.

Czy spodziewała się, że przez to spotkanie uda jej się jeszcze przez parę godzin powstrzymać bieg wypadków, konfrontację z rzeczywistością, która czyhała na nią w postaci zupełnie odmienionej Wiktorii, pustej biblioteki i rachunków za pogrzeb, leżących na biurku? Najprawdopodobniej chodziło jej tylko, ażeby jeszcze, dopóki tkwiła tu korzeniami, dopóki wszystkie nici nie były zerwane, spędzić do południa tak, jak by nic się nie stało, z poczuciem miłego dreszczu emocji znanego z dzieciństwa i lat szkolnych, kiedy podejmowała niezupełnie dozwoloną eskapadę i z drżeniem serca wracała do domu, a dziadek, patrząc znad okularów, mówił: „No i gdzie byłaś? Czekamy na ciebie z kolacją“.

Na kościele wybiła czwarta godzina. Młody człowiek podniósł wzrok na wieżę a potem przeniósł go na zegarek na ręce. Sterczał już od dziesięciu minut przed ławką po zewnętrznej stronie muru cmentarnego, jak było umówione. Minęło jeszcze dziesięć minut. W tej chwili z alei wynurzyła się szczupła sylwetka Magdaleny.

— Przyszła pani — podszedł do niej rozpromieniony. — A już się bałem, że pani się rozmyśliła. Dokąd pójdziemy?

— Może na to pana lotnisko?

— To wykluczone. Obcym wstęp wzbroniony.

Bóg raczy wiedzieć, czy to lotnisko w ogóle istniało. Być może było tylko mistyfikacją. Jeżeli wymyślił je, ażeby wydać się bardziej interesujący, dowodziło to w każdym razie imaginacji. Nie przywiązywała specjalnej wagi do tego, czy rzeczywiście był skoczkiem spadochronowym. Ważne było, że spotkała go tutaj i że wspomnienie o nim na zawsze zostanie zrośnięte z Drogą Grabowską i kawiarnią na rynku, że ilekroć w myślach będzie chciała do niego wrócić,

odnajdzie go z łatwością, choćby nawet go tam nie było — że nie rozplynie się w klimacie nieznanych miast, obcych stron, niewiadomych krajobrazów.

Ruszyli aleją przez park miejski, pusty mimo niedzieli, jako że dnia tego odbywały się zawody żużlowe.

— Widziałem panią wczoraj na cmentarzu.

— Był pan na pogrzebie?

— Żeby panią zobaczyć. Prowadził panią ten stary adwokat z Kaliskiej.

— To mój kuzyn.

pulsującego wszystkimi barwami kończącego się lata, od bladocytrynowej po niekąd też należy do tego miasteczka.

— Jest to dla mnie jedyne miejsce na świecie, gdzie wszystko dzieje się naprawdę.

— Kiedy tu się nic nie dzieje. To znaczy, wczoraj był pogrzeb pani dziadka, a dziś są zawody żużlowe, ale to raczej wyjątkowe okazje. Jutro na pewno nic się nie zdarzy.

Jutro wyjadę stąd na zawsze — pomyślała, choć wydawało się to niewiarygodne w zestawieniu z urzekającą ciszą, melancholią i martwością tego niedzielnego popołudnia i pustymi, wyschniętymi od upału ścieżkami miejskiego parku, pulsującego, wszystkimi barwami kończącego się lata, od bladocytrynowej poprzez różnorodne odcienie zieleności aż do zgniłoburaczonej. Z pewną dozą zaciekawienia i emocji poddawała się urokowi tej przygody, która zaczęła się na korytarzu w pociągu i Bóg raczy wiedzieć, jak miała się zakończyć.

Zegar na wieży kościelnej uderzył pięć razy.

— Już piąta — powiedziała stara hrabina. — Nie rozumiem, dlaczego Magdalena tak długo się nie zjawia.

— A czy mama ją w ogóle zaprosiła na tę kawę? — zapytał Żbik.

Okazało się, że nie. Że zapomniała ją zaprosić, uważając za samo przez się zrozumiałe, iż Magdalena będzie jadła obiad w domu. Tymczasem wyszła w pośpiechu i przepadła, jak kamień w wodę.

— Idź zobacz, czy nie wróciła i powiedz pani Budkowej, że gdyby przyszła... Żbik zerwał się ochoczo.

— Przy sposobności pójdę po papierosy.

— Ale zaraz wracaj.

— Skoczę do kawiarni na rynek, bo budka zamknięta.

Czym prędzej wyniósł się z pokoju i wymknął z domu. Zostali we troje: stara hrabina, pani Tosia i pan Ferdynand, emerytowany prezes sądu.

— Nie ma Antoniego — skonstatował pan Ferdynand.

— Magdalena nie wróci tak prędko — rzekła pani Tosia, zrobiła efektowną pauzę. — Na pewno poszła z Bronkiem Rennertem na obiad i się zaszedzieli.

— Ale to przecież jej krewny, prawda? — zaniepokoiła się stara hrabina.

— Trzeciego stopnia. Zawsze był jej adoratorem. Jeszcze, kiedy chodziła do szkoły.

— No, to ja sprzątnę chyba.

Stara hrabina zebrała filiżanki od kawy, odstawiła srebrną cukierniczkę i talerzyk z petits-beurres'ami.

Pokój jej wyglądał jak sklep starożytności połączony z rupieciarnią. Jedną ścianę zajmowały szafy. Na szafach stały różne przedmioty o zgoła rozmaitym przeznaczeniu i funkcji estetycznej: młynek do kawy, żelazko do prasowania, pudło od cylindrów, drogocenna waza z sewrskiej porcelany, srebrny puchar, najwidoczniej nagroda z konkursów hippicznych i moździerzy. Na jednej ścianie wisiał obraz holenderski, tak czarny, że już niczego na nim nie można było rozeznaczyć, co poniekąd stanowiło o jego wartości. Nad łóżkiem Serce Jezusa i różaniec.

Urządzenie pokoju było wypadkową ubóstwa i rezygnacji, resztek dawnych splendorów, dewocji i kompletnej bezradności w zmienionej sytuacji.

— Może zagramy w loteryjkę? — zaproponowała pani Tosia.

— Po pół grosza — zastrzegła się stara hrabina.

— Ja gram tylko po jednej czwartej — oświadczył pan Ferdynand, jak zawsze pedantycznie.

Zasiedli do kart.

Zegar na wieży kościelnej uderzył sześć razy.

— Boże, już szósta — powiedziała Magdalena. — Dwie godziny tu spacerujemy.

— Widzi pani, szybko nam czas zeszedł.

— Nawet nie wiem, o czym mówiliśmy.

— Ani ja.

— Opowiadał pan o lotnisku.

— A pani o swoim domu.

— Ale teraz naprawdę będę musiała już iść.

Powiedział błagalnie: — Niech mi pani pozwoli raz jeden tam przyjść. Na kwadrans. Na dziesięć minut.

— To nie ma sensu.

— Dla mnie ma sens.

— Chce pan zobaczyć mój dom?

— Chcę w nim zobaczyć panią. Później, gdy pani wyjedzie, a będę tamtędy przechodzić...

— Ostatecznie, to jest mój dom. Ale jeśli mnie ktoś zapyta, skąd pan się wziął?

— Kto ma panią zapytać? Zresztą mogę nie dzwonić. Będę czekać przed furtką. Kiedy się ściemni.

— Dobrze. Niech pan zaczeka przed furtką. A teraz — do widzenia. Naprawdę muszę już iść. Nie, niech pan mnie nie odprowadza.

Szła w stronę rynku. Ażebym tam dojsz, musiała minąć ulicę Kościelną i Czerwonej Armii, nazwaną tak po wojnie. Zresztą nie tylko nazwa ulicy była nowa: spod szyldu Samopomocy Chłopskiej, zmytego przez deszcze, wyłaził napis z czasów okupacji, który przy jakimś wysiłku można było odczytać jako „Obst und Gemüse“, przez który przeziarał z kolei wyblakły, ale nieustępliwy niejaki „M. Domagała“. Wszystkie te warstwy zachodziły na siebie wzajem, przenikały się, składały na historię tego miasta, które pomimo nieustannych przeobrażeń trwało niezmiennie w tej samej kotlinie rzecznej, na dawnym szlaku handlowym między Kaliszem a Wrocławiem, parne i duszne od wyziewów błot Barycznych, pod kopułą mglistego nieba, z szarymi murami kamienic, czerwonym kościołem, żelaznym mostem kolejowym i tunelem, wykładanym białymi kafelkami, przez który prowadziła droga powrotna — bez względu na to, skąd się wracało.

Dochodziła do rynku, kiedy zapalono latarnie.

— Magdalenko — telefonowałem do ciebie trzy razy, ale nikt nie podejmował słuchawki. Chciałem cię zaprosić do Polonii na kolację.

Naprzeciw Magdaleny stał kuzyn Rennert w eleganckim szarym garniturze, z laszczką i twarzą nieco zdeformowaną, jakby od wieloletniego noszenia monokla.

W tej chwili wydał jej się starszy niż kiedykolwiek i jednocześnie bliiski, bliskością rzeczy odwiecznie znanych.

— Ale mam tylko godzinę czasu.

Weszli do restauracji i zajęli miejsce nie opodal orkiestry, gdzie pan mecenas Rennert miał zarezerwowany stały stół. Kelner bez pytania podał zakąski, wódeczkę i spis potraw.

Było jeszcze za wcześnie na kolację, toteż sala była omal pusta. Powoli schodziła się orkiestra i zaczęła stroić instrumenty.

— Powiedz mi — zaczęła ni stąd, ni zowąd — czy tu jest jakieś lotnisko?

— Lotnisko? Pasażerskie? Wiesz przecież, że nie ma.

— Może do ćwiczeń? — poddała.

— Pierwszy raz o tym słyszę. Skąd przyszło ci do głowy lotnisko?

Nie odpowiedziała. Dziubiła coś widelcem na talerzu, widocznie myślami gdzie indziej.

— Nad czym tak medytujesz? Napij się.

— Wiktoria ma jakieś własne plany co do mojego domu. Nigdy nie myślałam, że Wiktoria też będzie przeciw mnie.

— Może to nie Wiktoria jest przeciwko tobie — tylko...

— Oczywiście — przytaknęła. — Ale z tym właśnie nie mogę się pogodzić: dotychczas wydawało mi się, że wystarczy tu przyjechać, ażeby zatrzymać czas. Tymczasem kuzyn, który zdążył wypić jeden po drugim dwa kieliszki, zaczął się roztakiwać.

— Czy ty wiesz, czym dla mnie był każdy twój przyjazd? Jak uśmiech młodości, jak powiew szerokiego świata. A kiedy szliśmy za trumną, nie zgadniesz, jakie myśli mnie nachodziły.

— Powiedz.

— Że najrozsądniejszą rzeczą byłoby, gdybyśmy się pobrali. Zawsze kochałem cię najwięcej z całej rodziny.

— To bardzo miło, że proponujesz mi małżeństwo, ale to niemożliwe.

— Zdawało mi się, że masz niejaki sentyment dla tego miasta i dla mnie.

— Wiesz, że tak jest. Ale gdybym wyszła za ciebie, to i tak nie byłoby to samo.

— Oczywiście, że nie. Musiałabys rzucić teatr i zamieszkać w moim domu. Od dwudziestu pięciu lat — z przerwą wojenną — mam kancelarię na Kaliskiej. Jeżeli to miałaś na myśli,

— To także. Ale umiem ocenić twoją propozycję. Zresztą mam dla ciebie uczucie jak dla brata.

— To mi nie przeszkadza.

— Ale mnie — zrobiła gest, jakby się zbierała do odejścia. Przytrzymał ją za rękę.

— Dokąd chcesz iść?

— Do domu, oczywiście.

— Do kogo się tak śpieszysz? — najwidoczniej już miał rausza. — Jeżeli masz na myśli tego przystojnego eks-kawalerzystę, to powiem ci, że widziałem go, jak wchodził do kina z córką waszej kucharki.

— Ale to nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

— Jeżeli nawet nie chcesz za mnie wyjść za mąż, ten jeden wieczór możesz mi poświęcić.

— Każdy inny tylko nie ten.

Schwycił ją za rękę, aż zabołało;

— Puść mnie.

— Przyjdź do mnie...

Twarz miał zmienioną nie do poznania. W tej chwili wydał jej się podobny do maszkaronu na Notre Dame.

— Masz na twarzy wypisane wszystkie siedem grzechów głównych.

— He-he-he — roześmiał się, ale rozluźnił uścisk, tak że udało jej się wyrwać rękę.

On także się zmienił. Nie tylko Wiktoria — pomyślała. A może zawsze byli inni niż mi się wydawało? Jak gdyby nagle zaczęła dostrzegać drugie dno od dziecka znanych zjawisk. Czy miasteczko przygotowywało jej więcej jeszcze niespodzianek?

— Bądź zdrow. — Podniosła się i wyszła.

Został sam z perspektywą tego samego mieszkania naprzeciw sądu i tego samego stolika w restauracji, raz na rok wyjazdu do Krynicy i coraz bardziej kurczącego się kręgu rozrywki (co właśnie doprowadziło go na myśl o małżeństwie), tych samych ulic, wiodących zawsze do tych samych miejsc: sądu, restauracji, kawiarni i domu; i ogarnęło go przerażenie, że tak już zostanie do śmierci. Ze zgrozą zobaczył miasteczko z jego trzydziestoma tysiącami mieszkańców, fabryką wagonów, szpitalem, w którym raz leżał, dwoma kinami, do których nie chodził i basenem, który znał ze słyszenia. Teraz do tego obrazu przybywało jeszcze rzekome lotnisko, którego istnienia nie podejrzewał, co niego zresztą nie dowodziło, albowiem z praktyki sądowej wiedział, że każda społeczność składa się z wielu kręgów, często odizolowanych i pozornie nie przenikających się wzajem, które w najbardziej nieprzewidywalnych momentach ujawniały punkty styczne.

Sięgnął po kieliszek. Od dawna przestał się martwić tym, że za dużo pije.

Na Magdalenę czyhała już w hallu Wiktoria z miną na poły obrażoną, na poły udobruchaną.

— Państwo Klemczakowie na panią czekają — oznajmiła szeptem.

— Co za państwo Klemczakowie? — spytała Magdalena.

— Przecież pani mówiłam, że mieli dziś przyjść — odpowiedziała. — Dentysta z żoną. — Odwróciła się i wskazała na młode małżeństwo, ubrane z prowincjonalną i niedzielą elegancją, które siedziało pod wypchaną sową i teraz się podniosło.

— Przyszli z nakazem — obwieściła triumfalnie Wiktoria, wskazując na nich.

— Pani pozwoli, że się przedstawię — Klemczak, lekarz-dentysta. A to moja żona. Przyszliśmy w sprawie mieszkania.

— Mamy już nakaz — pośpieszyła ona.

— Czy mogłabym zobaczyć ten nakaz?

Dentysta sięgnął do portfelu i wyjął z niego złożony papier. Podał go marmrocąc: — Niech nam pani wierzy, że naprawdę nam przykro. Ale pani wie, że w żadnym wypadku nie utrzymałaby tego mieszkania.

— Tak, wiem. Więc mam opuścić ten dom?

— Nie ma pośpiechu. Ale w pani własnym interesie leży, żeby jak najprędzej. Inaczej mogą tu wtargnąć dzicy lokatorzy.

— Muszę mieć parę dni, żeby zlikwidować wszystko. Mam tu meble.

— Moglibyśmy kupić meble z gabinetu. Oczywiście, jeśli niedrogo. Bo są stare.

— Antyki — wtrąciła Magdalena.

— My wolimy nowoczesne.

— Ale gdyby się pani zdecydowała...

— Sądzę, że gabinet dziadka będę musiała sprzedać... Może państwo zechcą — gestem ręki zaprosiła ich do biblioteki. Ale najwidoczniej wszystko dokładnie już obejrzel przed jej przyjściem. Porozumiewali się tylko wzrokiem, wskazując sobie ten i ów przedmiot.

— Ta lampa? — rzekł on.

— Meluzyna. Czy nie podoba się państwu?

— Obawiam się, że wygląda nie dość solidnie. — To rzekła ona.

— Sądzę, że skoro mogła być w gabinecie mojego dziadka...

— Archeolog to nie to samo, co dentysta, proszę pani. A co do mebli, to są zniszczone — dodała pani Klemczakowa.

— Trzeba je odpoliturować — powiedział on.

— Te meble powinny być matowe — poinformowała ich Magdalena, ale nie udało jej się ich przekonać.

— My wolimy błyszczące.

— Ile by pani chciała za ten gabinet?

— Nie wiem.

— Właściwie to są stare graty — powiedziała żona dentysty.

— W Desie takie stare graty są niesłychanie drogie.

— Jak się chce kupić. Ale nie jak się chce sprzedać — zaczął dentysta. — Ja jestem z kupieckiej rodziny. Moi rodzice mają sklep w Krotoszynie, ja się na handlu znam.

— Poza tym musiałaby pani zapłacić za transport — wtrąciła ona.

— Damy pani dziesięć tysięcy gotówką i szlus. Zrobi sobie pani ładną wycieczkę Orbisem.

— To są naprawdę antyki dużej wartości.

— Moja pani, antyki nie antyki, ale kto to pani takie duże graty kupi? Komu one się zmieszczą w metrażu? Dobrze, że mąż jest dentystą i ma prawo do gabinetu przyjęć.

Zaczeli się targować. Oglądali lampy. Obracali dywany i krzesła na drugą stronę. Sprawdzali wszystko. Zaraz znać było, że są z kupieckiej rodziny i że się nie dadzą oszukać. Stało na tym, że zapłacili gotówką szesnaście tysięcy: kupili wszystkie meble z dywanem i — specjalnie sobie dentysta zastrzegł — z lampą w kształcie Meluzyny. Co zaś do kołczugi — to żelastwo może pani sobie zatrzymać — powiedzieli. — W każdym razie nic za nie nie dopłacimy.

— Kiedy będziemy się mogli sprowadzić?

— Sądzę, że pojutrze.

Pożegnali się i odeszli.

W tym momencie wyszła na plan Wiktoria.

— No i widzi pani... i meble pani sprzedawała za gotówkę i porządnych lokatorów dostała, kulturalnych, którzy pani domu nie zrujnują... Czy ja pani źle radziłam?

Było widać, że teraz, kiedy już nie groziła jej inwazja Nastusi, z całym balastem wspomnień, co oznaczało przedłużenie tradycji tego domu, gotowa była wymazać cały ranny incydent.

— A jak pani będzie chciała na grób starszego pana przyjechać zawsze może u mnie przenocować.

Bez względu na to, czy było to posunięcie taktyczne, czy odruch serdeczności, podyktowany wieloletnim przyzwyczajeniem, wyrosłym wprawdzie na nierówności społecznej, ale nie pozbawionym wzajemnego przywiązania, Magdalena odczuła ulgę, że Wiktoria wróciła do pozorów, jakby się nic między nimi nie zmieniło.

— Dziękuję pani Budkowej.

— Pani hrabina się dopytywała o panią — informowała konfidencjonalnie. — Ale goście już się rozeszli.

Na schodach wiodących na pierwsze piętro ukazała się stara hrabina.

— Tak bardzo chciałam kochaną panią mieć dziś u siebie. Czekałimy na panią, wreszcie Żbik wyszedł na miasto w nadziei, że panią spotka... Ale, podobno ma pani zamiar sprzedać meble nowym lokatorom?

— Już je sprzedawałam. I właśnie w związku z tym mam pewną prośbę.

— Słucham.

— Czy mogłaby pani wziąć lustro z mojego pokoju na przechowanie?

— Lustro? Owszem. Bo poza tym, pani wie, jak u mnie jest ciasno. Jak wróci Żbik, to może przenieść.

— Wolalabym jutro. Chciałabym się dziś wcześniej położyć.

— To się pani słusznie należy. A zatem, dobranoc.

Było już ciemno, kiedy na Drodze Grabowskiej pojawiła się para: mężczyzna o ruchach kawalerzysty i młoda dziewczyna z zadartym nosem i końskim ogonem. Zatrzymali się w cieniu drzew, nie opodal żelaznej furtki, ale nie weszli od razu.

— Może przejdziemy się jeszcze trochę? — powiedział on.

— Kiedy już późno — odparła Iwonka bez przekonania.

— Chciała pani, żebym w drodze powrotnej dokończył ten wiersz.

— Prawda, niech pan powie.

Żbik oparł się o żelazne sztachety ogrodzenia i nie patrząc na nią, zaczął:

„A przeto jestem gotów, kiedy chłodną nocą

Zapuka do mych okien zwiędły klonu liść

Nie zapytam go o nic, dlaczego i po co

Lecz zrozumieć, że mówi: «No czas, bracie, iść.»

Nie żałuję niczego...”

Podczas kiedy deklamował, ręce jego wysunęły się ku Iwonce, po czym nieznacznie przyciągnęły ją, aż zetknęły się ich ciała. Ukołysana melodią słów, poddawała się jego pieścizdom, a kiedy przymknęły się jej oczy, pochwylił ją na miętkie, ale bez czułości przygłnął wargami do jej ust.

Na trzask jakiejś gałązki oderwali od siebie twarze.

— Tam ktoś stoi — szepnęła Iwonka. Oczy miała zamglone, ramiona jej drżały.

— Jakiś chuligan — zachnął się; przez ukladną maskę wyzierało teraz oblicze myśliwego, rozpalone polowaniem.

— Jeszcze chwilę — powtórnie ją objął.

Księżyc skrył się za chmury, tak że nie było nic widać. Szczepieni uściskiem trwali nieruchomo. W ciszy słychać tylko było chrapliwy oddech Żbika.

Zegar na wieży kościelnej wydzwonił dziesięć razy.

Przed lustrem stała Magdalena i poprawiała włosy. Ubrana była w romantyczny szlafrok biały z bufiastymi rękawami i wysoko przewiązany szarfą. Na dźwięk zegara podbiegła do okna, rozsunęła zasłonę, po chwili cofnęła się

i nastawiła radio. Buchnęła muzyka. Magdalena przekreśliła guzik. Znowu poszła do okna.

Raptem cofnęła się i zaczęła nasłuchiwać. Przekręcenie klucza w zamku, otwieranie drzwi i kroki przez hall, a potem ciche stąpanie po schodach. Jeszcze chwilę stała i nasłuchiwała. Kiedy wszystko ucichło, jak widmo wymknęła się ze swego pokoju.

Kiedy Żbik i Iwonka zniknęli we wnętrzu domu, młody człowiek odważył się wychylić z cienia drzew i jednym susem przypadł do wejścia. Stał z bijącym sercem i czekał. Zwolna otworzyły się drzwi i ukazała się w nich biała ręka w bufiastym rękawie. Pochwycił ją, a ona wciągnęła go do środka i cicho zamknęła drzwi.

Wszystko to trwało okamgnienie.

Stąpali na palcach przez ciemny hall. Magdalena szła pierwsza, chłopak z bijącym sercem za nią. Naciśnęła klamkę i wepchnęła do środka.

Blask lampy na biurku oświetlił duży, mroczny pokój.

— Przepraszam za spóźnienie — zaczął. — Krąży już od godziny, ale przeskadzała mi jakaś para, która dopiero przed chwilą tu weszła.

— Wiem. To córka naszej dawnej gospodyni. Studentka. I syn naszej lokatorki.

— Strasznie długo się całowali. Już chciałem przeskoczyć przez sztachety, ale nie wiedziałem, gdzie jest pani pokój.

— To jest gabinet dziadka — powiedziała.

Dopiero teraz się rozejrzył.

— Gdyby pani dziadek żył, nigdy nie odważyłbym się tu przyjść.

— Dlaczego?

— Pani dziadek wyglądał tak dostojnie. Był uczonym, prawda?

— Archeologiem — wskazała na jakieś szczątki wykopalisk rozstawione na biurku. Ale on nie poszedł za jej wzrokiem: z niejakim zdumieniem wodził oczami po ciężkich gdańskich meblach i półkach z książkami, wysckim suficie i lampie z Meluzyną, po ścianach zawieszonych obrazami, aż na koniec wzrok jego zatrzymał się na rzeźbionej skrzyni, nad którą wisiała kołczuga.

— Tak pani mieszka, jak w muzeum — powiedział.

— Nie podoba się panu?

— Nie wiedziałem, że w tym można mieszkać.

— Przecież żadne sprzęty nie zostały zaprojektowane do muzeum.

— Ja w każdym razie nie widziałem takiego mieszkania. To jest widziałem — na filmie.

— Pójdziemy do mojego pokoju. Mam nadzieję, że tam będzie się panu bardziej podobało.

— Ależ mnie się podoba — zaoponował.

Otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju. Łóżko, z rzeźbionymi oparciami, komoda i na niej kandelabry. Powyżej lustro w rokokowych srebrnych ramach. Na stoliku przy łóżku lampa, ozdobiona różowymi i niebieskimi porcelanowymi różyczkami. Ten sam motyw róż na wyblakłym dywanie. Tyle zdołał zauważyć.

Wskazała ręką fotel.

Usiadł. Obok na stoliku stała butelka Vermuthu i dwa kieliszki.

— Może się napijemy?

Wypił i znowu zaczął się rozglądać.

— Ale radio ma pani i telefon — ucieszył się, że nareszcie wzrok jego trafił na bardziej swojskie przedmioty.

Wstała i nastawiła radio. Pokój wypełniły dźwięki sonaty Beethovena.

— Grała to moja matka.

— Pani matka nie żyje?

— Zginęła w Powstaniu.

— A ojciec?

— Umarł, gdy byłem dzieckiem. Chowałam się w domu dziadka.

— Pani dziadek miał dwa pokoje, prawda?

— Po wojnie dwa.

— A przedtem?

— Zajmował cały dom.

— A co było w tych wszystkich pokojach?

— Na parterze jadalnia, salon, biblioteka i sypialnia dziadka. A na piętrze pokoje gościnne, które zajmowała moja matka ze mną.

— Nigdy nie miałem swojego pokoju — oznajmił. A po chwili: — Pani mówiła, że to grała pani matka... Co to jest?

— Sonata Beethovena.

— To mi przypomina moment przed skokiem.

— Ta muzyka?

— Tak. Jest w niej coś...

— Z nieskończoności — poddała.

— Z nieskończoności? — powtórzył. Widać nie był przyzwyczajony do prowadzenia podobnych rozmów. — Widzi się przed sobą rozwierającą się przepaść, a właściwie nic się nie widzi, tylko człowiek wie i się boi.

— Boi?

— Tak. Boi. Nasz instruktor mówi, że trzeba się bać. Że człowiek, który się nie boi, nie umie zapanować nad niebezpieczeństwem. Ale teraz nie chcę o tym myśleć.

Sięgnął po kieliszek i upił trochę.

Potem zupełnie innym tonem:

— Chciałbym zostać sławnym wynalazcą i mieć dużo pieniędzy.

— Żeby mieć własny pokój?

— To też. Ale na razie myślałem o czym innym. Ile trzeba pieniędzy, żeby przyjechać do Warszawy, zamieszkać w hotelu i pójść z kobietą do najdroższego lokalu na dansing?

— Bo ja wiem? To zależy...

— Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia?

Jego nieznaną kosztów powyżej pewnego standardu była wzruszająca.

— Pan żartuje. Dwa. Nawet tysiąc złotych od biedy starczy.

— Co? Tysiąc złotych? — zerwał się z fotela. — Phi! Parę udanych skoków i już. A gdyby pan przyjechał, posłaliby pani ze mną na dansing?

— Gdyby pan przyjechał, zaprosiłabym pana do siebie i poczęstowała kawą i Vermuthem, jak teraz. Napije się pan jeszcze?

— O, nie. Dziękuję. Więcej nie będę pił.

— Dlaczego?

— Właśnie jutro...

— Skacze pan?

— W każdym razie mam ćwiczenia.

— Tak, to lepiej nlech pan nie pije więcej. I wcześniej idzie spać.

— Dopiero jest po dziesiątej.

Wstał i przeszedł się po pokoju.

— Jak tu dużo miejsca — zauważył. — Pani tu śpi? — wskazał na łóżko.

— Tak.

Zatrzymał się przed komodą.

— Te świeczniki są też chyba bardzo stare?

— Mają zaledwie sto pięćdziesiąt lat.

Stała przy nim. A właściwie za nim. W blasku świec widział jej odbicie w lustrze, cokolwiek asymetryczne, o ostrych rysach i niebieskich włosach.

— Nigdy nie znałem podobnej kobiety. Nigdy nie byłem w takim domu. Nie wiem, jak się należy zachować. Ani co mówić...

— Zwyczajnie.

W odpowiedzi na to dmuchnął na jedną świecę. Zgasła. Dmuchnął na drugą, potem na третią, po kolei aż wszystkie zgasły.

— Po co pan to zrobił?

— Po to.

Wyciągnął drżące ramiona i powoli, ze strachem objął ją.

W lustrze, oddalone o perspektywę całego pokoju, lśniło nagle odbicie pary splecionej nieruchomym, jak na zdjęciu fotograficznym, uściskiem. Kiedy unieśli głowy, w ich pobladłych nagle twarzach świeciło zaleknienie. Po omacku, jak ślepcy, osunęli się na łóżko. Gwałtownie i niezdarnie przypadł do niej ustami.

Zegar na wieży kościelnej wybił pięć razy. W pokoju zaczynało szarzeć.

Magdalena uniosła się na łóżku i spojrzała na chłopca, który spał z ufnie podniesionymi ramionami. Był namiętny i nieśmiały, połączenie o którym wszystkie kobiety marzą. Wstała, narzuciła szlafrok i pochyliła się nad nim: jego opaloną szyję otaczał srebrny łańcuszek z krawkiem medalika. Przez chwilę zatrzymała się, jak gdyby chciała coś utrwalić w pamięci. Potem pociągnęła go za łańcuszek.

Obudził się od razu przytomny.

— Będiesz już musiał iść.

— Chcesz, żebym odszedł?

— Nie możesz przecież zostać do rana. O szóstej stara hrabina idzie na mszę. Gdyby cię spotkała w hallu...

— Wyjdę przez okno.

Chwila milczenia.

— Jesteś wierzący? — spytała, wskazując na medalik.

— Nie wiem. A ty?

— Nie wiem.

— Jak skacze, to wolę myśleć, że tam coś jest. Ale to oczywiście nie stanowi żadnego dowodu.

— Nie.

— Ale chciałbym.

— Każdy by chciał. Musisz jednak już iść.

— Pójdę. Czy mogę przyjść wieczorem?

— Wieczorem odjeżdżam do Warszawy.

— Przyjdę na dworzec.

— Obawiam się, że będzie mnie odprowadzał mój kuzyn.

— Ten stary adwokat. Ale przecież każdemu wolno przyjść na dworzec.

— Zatelefonuj przed wieczorem.

— Zatelefonuję, jak wrócę z lotniska.

Podniósł się i zaczął się ubierać. Robił to swobodnie, dyskretnie i naturalnie. Kiedy był gotów, rozejrzał się i powiedział:

— Gdybym opowiedział któremuś z kolegów, że byłem w takim domu i spędziłem w nim noc — i tak by mi nie uwierzył.

— Cieszę się, że ostatnia noc w moim domu była taka uroczą.

— Ale chyba przyjedziesz tu znowu?

— Jutro wprowadzają się nowi lokatorzy.

— Jak to? Wiec ten dom nie będzie już istniał? A w tym pokoju będą mieszkali obcy ludzie?

— Tak. To było rozstanie.

— Powinienem być od razu się domyślić, że tylko dlatego pozwoliłaś mi przyjść. Ale nie myśl, że uda ci się mnie wykreślić w ten sposób.

— Skąd wiesz, że chce cię wykreślić?

Przyciągnął ją do siebie.

— Przyjade do Warszawy — powiedział gorącym szeptem.

— Przyjeżdż.

W tej chwili rozległo się jakieś szuranie na górze.

— Musisz już iść.

— Tak, muszę.

Podprowadziła go do okna, rozsunęła zasłonę. Nikogo nie było widać.

Młody człowiek zrecznie wszedł na parapet i przerzucił się na drugą stronę. Przez chwilę zwiślał na rękach, potem wciągnął się, stanął na murku za oknem, wychylił do pokoju i jeszcze raz ją objął.

— Dziękuję za wszystko. I. do zobaczenia na dworcu.

— Czekaj — jak ci na imię?

— Aleksander.

Zeskoczył z murku i zniknął w ogrodzie.

Zegar na wieży kościelnej wydzwonił dwanaście razy, ale zagłuszyło go wyście syreny fabrycznej zwiastującej południe.

Wiktoria weszła do pokoju Magdaleny z tacą, na której było śniadanie.

— Już południe. Strasznie pani zasnęła.

Magdalena otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie.

— Przyniosłam śniadanie. Mocną czarną kawę, jak pani lubi. — Podsunęła taczkę, jednocześnie lustrując pokój.

— Pójdę wziąć prysznic i zaraz zabiorę się do pakowania.

— Pomogę pani — powiedziała Wiktoria usłużnie. Wycofała się do hallu i, po chwili wahania, ruszyła na górę, ciężko stąpając. Z westchnieniem otworzyła drzwi dawnego gościnnego pokoju.

Urządzony był z wyjątkowo złym smakiem. Składały się na niego solidne mieszczańskie meble i przerażająca ilość drobiazgów we wszystkich istniejących i nie istniejących stylach: poduszki z bułgarskim haftem, porcelanowe figurki, szklane wazoniki, haftowane serwetki, fotel na biegunach z tzw. w Wielkopolsce „laufrem“, obrazy w szerokich złotych ramach, specjalne wachlarze do fotografii i lampa z abażurem, obszytym cienkimi jak mysie ogonki frędzelkami.

Z tym bezsensownym i absolutnie niefunkcjonalnym wnętrzem współczesna sylwetka Iwonki stanowiła zaskakujący kontrast. Iwonka właśnie ścierała kurze, kiedy do pokoju weszła matka.

— Co ci mówił wczoraj wieczorem w drodze powrotnej z kina? — zaczęła Wiktoria. Ale Iwonka bynajmniej się nie stropiła, choć nie usiłowała też udawać, że nie wie, o kogo chodzi.

— Wiersze mi deklamował.

— A potem poszedł do niej i siedział do północy, albo jeszcze dłużej i pili Vermuth.

— Skąd mama wie?

— Widziałam kieliszki. Nawet nie sprzątnęła butelki.

— Ale skąd mama wie, że to był on?

— Jeżeli nie on, to kto? Poza tym słyszałam, jak prosiła starą hrabinę, żeby zabrał lustro z jej pokoju.

— Tak. To musiał być on.

— Nie pozwól ci z nim więcej wychodzić. Bogu dzięki, niedługo urlop mu się kończy.

— Więc mama wołałaby, żeby to jej deklamował wiersze, a potem u mnie siedział do północy? Zresztą to, że pił Vermuth jeszcze niczego nie dowodzi.

— Pewnie, że nie dowodzi. Ale rzecz w tym, że takim starym capom nie można dowierzać. Nawet kiedy zesłi na psy.

— A dopiero co mama mówiła, że zawsze to jest wielki pan...

— Iwonka, ale ty się chyba w nim nie zakochałaś?

— Co mama! Niech mama mi da spokój... — Rzuciła ścierkę od kurzu i wybiegła z pokoju.

— Matko Boska — tego tylko brakowało. — Wiktoria ciężko westchnęła. — Nieszczęścia zawsze chodzą w parze — dodała. Nie wiadomo jednak, co miała przy tym na myśli, bo nie wyglądało na to, ażeby śmierć pana Wilkońskiego traktowała jako osobiste nieszczęście.

— Dzięki Bogu, dziś odjeżdża — mruknęła, mając na myśli Magdalene.

Zeszła na dół i powędrowała do jej pokoju, taszcząc ogromny pusty kufer. Drugi, podobny stał w hallu.

— Porcelanę i srebro już spakowałam. Włożyłam też parę słoików konfitur — oznajmiła.

— Dziękuję Wiktorii.

— A co pani zamierza zrobić z meblami ze swego pokoju? Czy pani chce sprzedać je? Może bym ja dla Iwonki...

— Nie. Nie. W żadnym wypadku ich nie sprzedam.

— Zabierze je pani do Warszawy?

— Tam zupełnie nie mogłabym ich pomieścić. Chciałabym zostawić je na strychu albo w piwnicy. Może kiedyś...

— Jak pani uważa. Ale piwnica jest zajęta.

— Przecież są dwie piwnice.

— Ale ile tu rodzin mieszka. Pani hrabina, ja, Mrugasiewicz, a teraz jeszcze dentysta. Szczęściem Mrugasiewicz się odmurowali. Lecz zajęli jedną piwnicę. Prędzej już na strychu.

- Chyba się nie zniszczą.
- I tak są zniszczone. A co z pościelą i meblami kuchennymi?
- To dla Wiktorii. Mam nadzieję, że się przydadzą.
- Owszem, przydadzą się. Dziękuję pani.
- Ubrania po dziadku dam Tomali. Miał przyjąć wczoraj.
- Jak przyjdzie to mu dam.

Tak gwarząc zabrały się do pakowania. Magdalena zestawiała z komody rokokowe kandelabry i majolikowy zegar, lampę, potem zdjęła ze ścian miniatury i kolejno podawała Wiktorii, która każdy przedmiot starannie owijała i chowała do kufra. Na koniec zwinęły dywan w rulon, po czym Wiktoria odczepiła firanki.

- Mrugasiewicz mówił, że kupiłby futro po starszym panu — jeżeli niedrogo.
- Niech pani Budkowa staną z nim rozmówi..

Wiktoria wyszła z pokoju unosząc ze sobą pościel. Przez otwarte drzwi wbiegł kot i z wielkim zainteresowaniem patrzył, co się dzieje. Wskoczył na łóżko, potem próbował dostać się do środka zwinętego dywanu.

Po chwili wróciła Wiktoria z panem Mrugasiewiczem, który ukłonił się grzecznie i skromnie stanął z bóku.

— A i kotek tu jest. Kota będzie pani musiała też zabrać... bo by za panią tęsknił — powiedziała dawna kucharka.

— Zabiorę. Tylko jemu będzie tam smutno. Całymi dniami siedzę w pracowni teatralnej.

— Stworzenia lubią, żeby z nimi gadać — zauważył listonosz.

— Wypuści go pani, to sobie pobiega — powiedziała Wiktoria.

— Nie mogę go wypuszczać, bo by go złapali na skórę, albo ustrzelili z wiatrówki.

— To w Warszawie wolno strzelać do zwierząt z wiatrówki? — zdumiał się listonosz.

— Nie wolno. Ale strzelają. Chuligani.

— A, to ci, o których piszą w gazetach — stwierdziła Wiktoria.

— I sowę chyba pani zabierze. Tej już nic nie zrobią.

— Jaką sowę?

— Wypchaną. Starszy pan bardzo ją lubił.

Wyszła z pokoju, zostawiając listonosza z Magdalena.

— A co z tym futrem, panie Mrugasiewicz? Trzeba, żeby pan zmierzył.

— Ja już zmierzyłem. Żeby tak niedrogo...

Na to weszła Wiktoria dzierżąc w jednej ręce kolczugę, a w drugiej wypchaną sowę.

— Pani Magdalena na pewno niedrogo panu sprzeda. Pan Mrugasiewicz może nam jeszcze wszystko nadać na bagaż, żeby się nie potłukło. — Po czym do Magdaleny:

— A co pani myśli zrobić z tym żelastwem? Syn pani hrabiny mówi, że mógłby to wziąć na przechowanie.

— To doskonale. A gdzie jest pan Żbik?

Wiktoria wskazała ręką za siebie w kierunku hallu.

Przez uchylone drzwi wszedł Żbik. Przywitał się z Magdaleną jakby nigdy nie, ale Wiktoria wiedziała, że po ludziach w jego wieku i z jego wychowaniem nigdy nic nie można poznać.

— Przyszedłem po lustro — powiedział.

We dwóch z panem Mrugasiewiczem zdjęli ostrożnie lustro.

— A co z kolczugą? — zapytała Magdalena.

— Chętnie się nią zaopiekuję.

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Iwonka.

— Matko Boska — co się stało? Wchodzisz tak bez pukania? — zgromiła ją Wiktoria.

Iwonka powiodła nieprzytomnym spojrzeniem po obecnych.

— Syn tego kolejarza, Nowaka, mój kolega, zabił się na szybowcu.

Wiktoria: Jezus Maria, kiedy to się stało?

Iwonka: Dziś rano. Zawadził o coś skrzydłem, czy może skrzydło się oderwało.

Listonosz: Brakoróbstwo...

Wiktoria: Wiesz na pewno, że zabity?

Iwonka: Na pewno. Rozbił się na miazgę.

Wiktoria: Matka o tym wie?

Iwonka: Pewno, że wie, kiedy całe miasto o niczym innym nie mówi.

— Ile miał lat? — zapytał Żbik.

— Dwadzieścia jeden — odpowiedziała Iwonka.

Oczy wszystkich były w niej utkwiczone tak, że nikt nie zwracał uwagi na Magdalene, która stała szara na twarzy i niema, jak gdyby zastygła ze zgrozy. Nagle ocknęła się.

— A może to był spadochron? — zapytała znienacka.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

— Dlaczego miał być spadochron? — zdziwiła się Wiktoria. — Tu jest kółko, czy klub szybowników.

— Ale niektórzy mówią, że oni mają też ćwiczenia ze spadochronami — stwierdziła Iwonka po chwili namysłu.

Tu wmieszał się Żbik.

— Takim smarkaczom nie powinno się pozwalać... Potem wynikają z tego tylko nieszczęśliwe wypadki...

— Jak on wyglądał ten chłopak? — zapytała Magdalena.

— Pani na pewno go nie знаła — powiedziała Wiktoria z dezaprobatą. Jak gdyby było coś nieprzyzwoitego, nie licującego z powagą śmierci w dopytywaniu się o wygląd ofiary.

— Wysoki blondyn. Można powiedzieć, przystojny nawet — odparła Iwonka. Widać było, że chętnie mówiła o zabitym.

— Iwonka go znała?

— Ze szkoły. Był o jedną klasę wyżej ode mnie.

— Jak było mu na imię?

Ala zamiast Iwonki odpowiedziała Wiktoria.

— Jeżeli to syn tego Nowaka, który jest kolejarzem, to wołali na niego Olek.

— Tak. Na imię miał Aleksander — potwierdziła Iwonka.

Takie rzeczy wprowadzić się zdarzają, ale nie muszą się zdarzać. Jeżeli miał zginąć, całe ich spotkanie było bezsensowne. Albo raczej nabrało sensu ostatecznego, na jaki oboje nie byli przygotowani. A może owa lekkomyślnie spędzona noc była przyczyną całego wypadku? Może po tej nocy pozbył się lęku, który tak skutecznie pozwala w porę rozeznaczyć niebezpieczeństwo i nad nim zapanować? Ale najpewniej był to po prostu przypadek. Katastrofa, jedna z wielu, o jakiej czyta się potem petitem, albo przeciwnie tłustym drukiem, w gazecie, nie doszukując się w niej żadnych metafizycznych treści.

— Pogrzeb odbędzie się pojutrze — mówiła Iwonka. — Podobno na koszt państwa. A rodzina dostanie dwadzieścia tysięcy.

— Matce to syna nie wróci — westchnęła Wiktoria. — Ale zawsze się im przyda — dodała rozsądnie.

W tej chwili zadzwieczał telefon.

— Kto to może być? — przeraziła się Magdalena.

— Dlaczego pani się tak przestraszyła? — zdziwiła się dawna kucharka. — Zaraz wezmę słuchawkę.

Ala Magdalena ją uprzedziła. — To pewnie do mnie.

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Tak — to ja — dziś — o 0.15. Dobrze. — Do zobaczenia na dworcu.

Usiadła na fotelu, żeby nie upaść.

— Czy musi pani dziś odjechać? — spytała Wiktoria litościwie. — Te wszystkie przejścia zmęczyły pania. A teraz jeszcze Iwonka przyniosła wiadomość o tym wypadku. Niepotrzebnie się pani tak przejęła.

— Dziękuję Wiktorii. Ale wolę wyjazdu nie odkładać. Pan mecenas Rennert właśnie telefonował, że odwiezie mnie na dworzec.

Wszyscy byli bardzo mili dla niej tego ostatniego wieczoru.

Żbik wraz z listonoszem wynieśli meble z pokoju Magdaleny na strych, a lustro powędrowało do pokoju starej hrabiny. Kolczugę zabrał Żbik. Potem pan Mrugasiewicz odstawił oba kufry i wypchaną sowę na dworzec i nadał na bagaż, a pani Budkowa wystąpiła z wystawną kolacją.

O dwunastej mecenas Rennert przyjechał po Magdalene samochodem, ażeby ją odwieźć na pociąg pospieszny do Warszawy.

— A klucze — klucze od mieszkania? — przypomniła sobie Wiktoria w ostatniej chwili, dopędzając Magdalene, która już wyszła na ganek.

— Przecież są klucze dziadka — zaproponowała Magdalena słabo.

— Te dostaną nowi lokatorzy, a pani klucze będą dla Lwonki.

Magdalena przez chwilę się zawahała. Potem sięgnęła do torebki i podała Wiktorii klucze. Ten gest przypomniawszy jej moment przed trzema dniami, gdy wyjęła je, ażeby otworzyć drzwi, a tamten chłopak, który przyniósł jej bagaże, tak, że nie potrzebowała brać taksówki, stał obok niej i nie chciał odejść.

Noc była tak samo ciemna i parna, a dom, który przestał już być jej domem, wydawał się zupełnie nie zmieniony.

Wsiadła do samochodu.

Ruszyli Drogą Grabowską, potem skreśli w ulicę Kaliską, minęli rynek i wjechali w ulicę Dworcową. Wszystko było jak w dniu jej przyjazdu. Miasteczko trwało ciemne i uśpione, zawsze to samo, jedyne na świecie, niezawodne, zdradzieckie.

Koniec

Już w poszukiwaniu przygody można ją znaleźć.

Stanisław Jerzy LEC